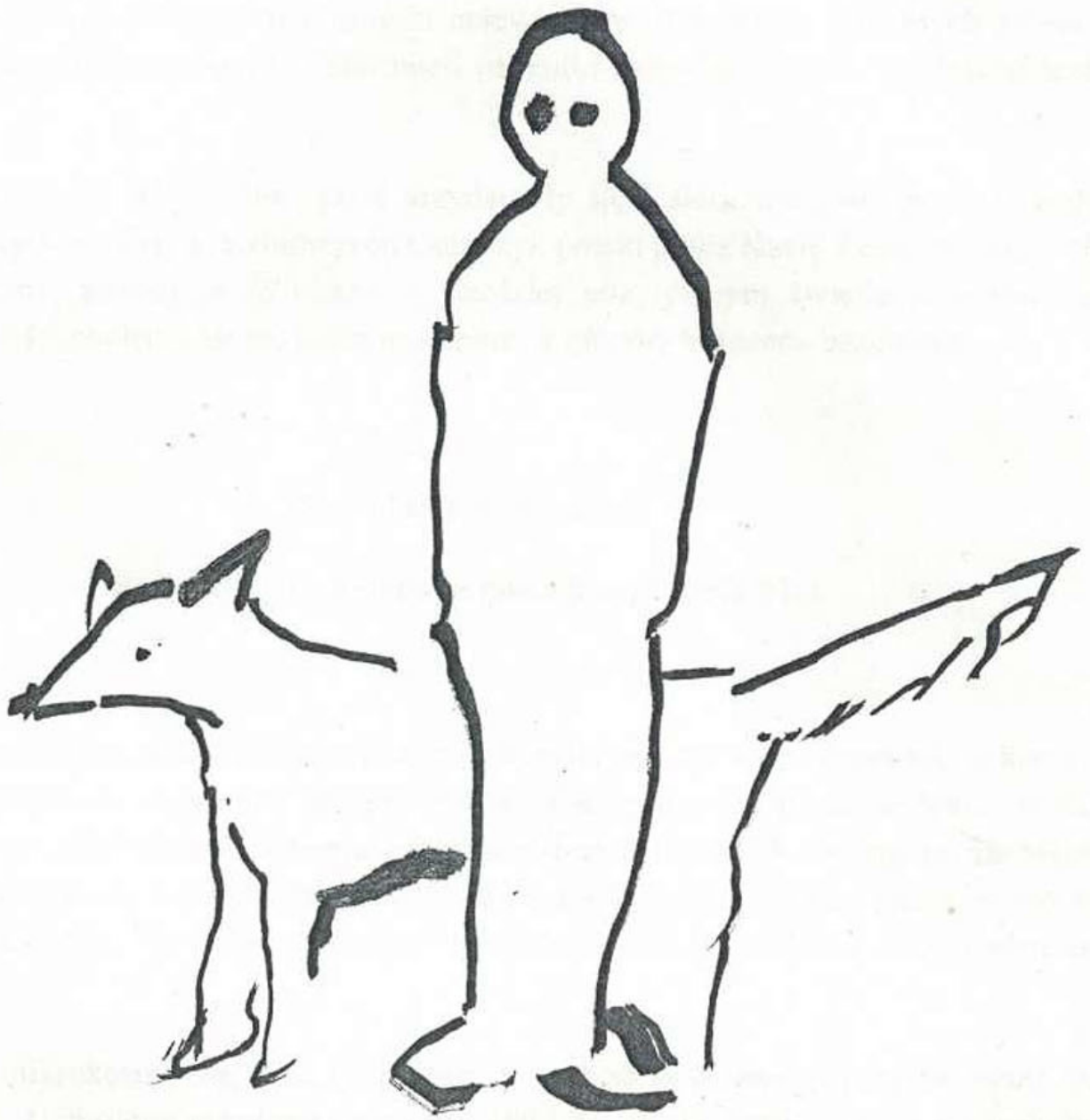




Jin i Jan

Refleksje po spektaklu „William i William” Valeriana Collot

Być może niektórzy z nas przyzwyczaili się do widoku w Teatrze „Węgajty” Valeriana - młodego Francuza. Od pewnego czasu można go zobaczyć nie tylko w roli wolontariusza Wioski Teatralnej, lecz także na scenie jako aktora prezentującego swoje własne monodramy.

Spektakl Collot zyskał sobie przychylną publiczność, głównie dzięki wykonaniu w języku polskim (z lekką nutką francuskiego akcentu), ale również z powodu błyskotliwego humoru aktora. „William i William” to połączenie niezwykle tematu z zabawnymi przerywnikami pozwalającymi widzowi złapać oddech w dość przygnębiającej rzeczywistości scenicznej. Tak zbudowany scenariusz potwierdza tezę, że możliwe jest przekazanie istotnej i trudnej treści bez rezygnacji z lekkości formy przedstawienia. Humor nie zagrażał w tym przypadku realizmowi sytuacji opuszczonego, biednego (bo bezdomnego!) człowieka- tytułowego Williama.

Na korzyść tekstu przemawia charakterystyczne dla monodramu tworzenie kolejnych postaci. Główny bohater rozpaczliwie szuka zrozumienia i kontaktu z drugim człowiekiem. Kreowanie fikcyjnych postaci jest jedną z prób przetrwania, skutkiem osamotnienia i deformacji psychiki człowieka, który nie jest akceptowany przez społeczeństwo.

Nawet małe wpadki z użyciem rekwizytów, jakie przydarzyły się Valerianowi, nie przeszkadzały w odbiorze sztuki. Jego piękne, poetyckie teksty przetłumaczone na język polski przez Kasię Regulską, ujęły chyba każdego widza. Wzruszające sceny, stawiające Williama w bardziej pozytywnym świetle pozwalały zweryfikować poglądy dotyczące tej części społeczeństwa, którą reprezentuje główny bohater - bezdomny.

Alicja Brudło

Niewolnicy wyobrażeń

Refleksje po warsztacie tańca butoh Kena Mai

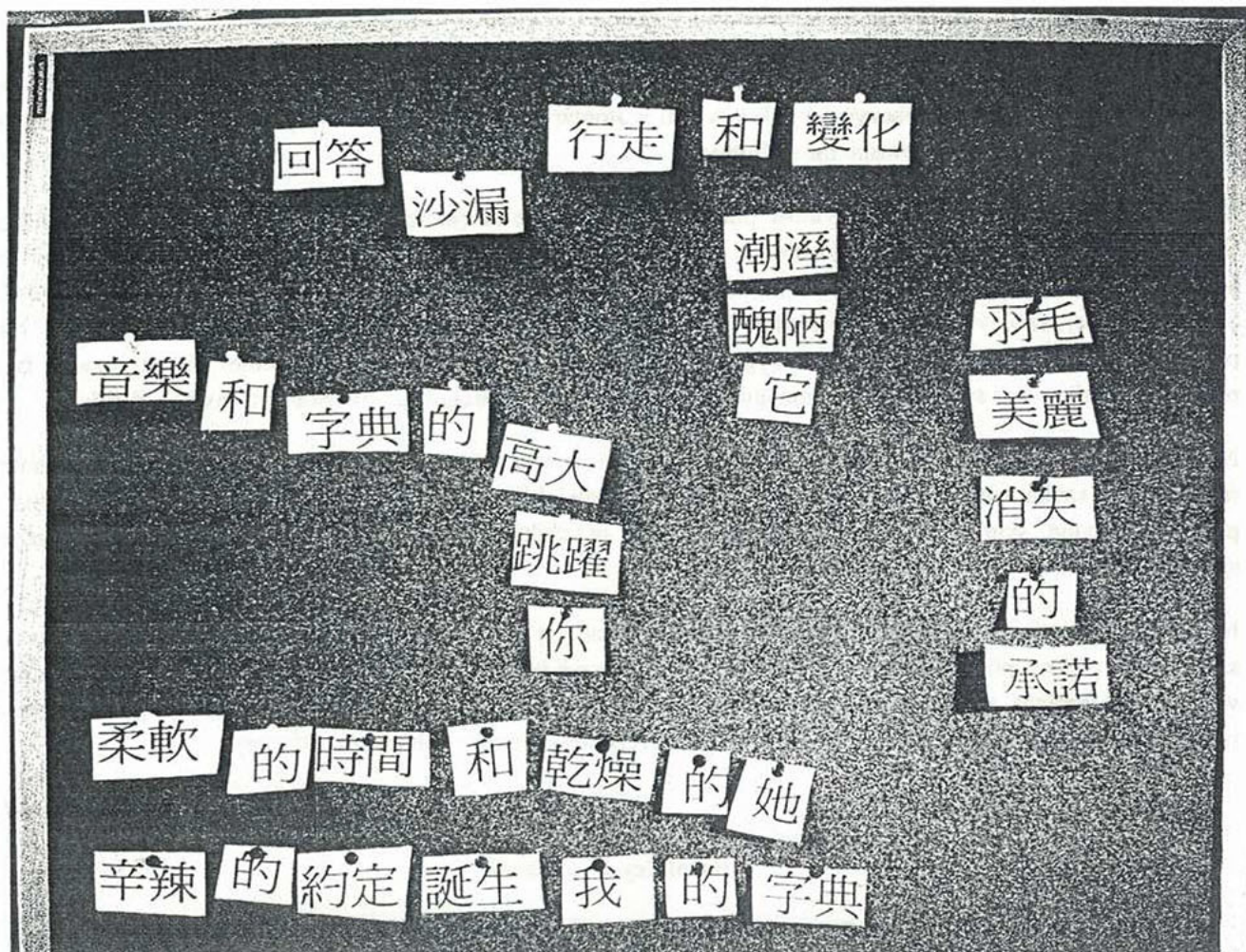
Kiedyś wrocławska malarka Anna Morawiecka powiedziała mi, że stary człowiek u kresu swego życia przechodzi przez kolejne stadia umierania, przypominające stadia rozwoju płodu w łonie matki. W kulturze zachodniej posiadamy rozległą wiedzę na temat rozwoju dziecka. O fazach umierania nie wiemy natomiast zupełnie nic. Śmierć jest dla nas tematem zakazanym, nie ma w nas dla niej akceptacji, usilnie staramy się ją wyprzeć z naszej świadomości. Tymczasem śmierć, tak jak narodziny, jest naturalnym elementem ludzkiej egzystencji.

Tancerz Butoh jest mikrokosmosem. Jest tym, który w trakcie tworzenia przeżywa wciąż na nowo małe narodziny i małe śmierci. Uzbrojony w pokorę przestaje istnieć dla siebie. Staje się służącą wszechotaczającego go Uniwersum.

Byliśmy uczestnikami warsztatu, któremu w pewien sposób nie podoleliśmy. Wszyscy z jakimś wyobrażeniem teatru. Wszyscy w jakiś sposób twórczy, nie potrafiliśmy pozwolić na totalne ogołocenie, na stanięcie w poczuciu własnej nędzy i niemocy. Chcieliśmy wabić, uwodzić naszym ruchem, epatować energią na zewnątrz, podczas gdy wymagano od nas skupienia na własnym wnętrzu. Chcieliśmy pozostać żywi, podczas gdy wymagano od nas śmierci.

Doświadczenie to uważam za bardzo cenne. Pokazuje bowiem, że ciągle jeszcze mamy coś do zrobienia. Otwartość na drugiego człowieka, otwartość na to, co inne jest procesem. Procesem, który wydaje się nie mieć końca. Wszelkie formy naszej kreatywności, inwencji, nawet przy najlepszych intencjach, mogą okazać się inwazyjne, jeśli nie pocujemy sercem środowiska, w którym przychodzi nam żyć, funkcjonować i tworzyć.

Magda C.



Wiersze uczestniczek warsztatów Wei-Yun Lin-Góreckiej

FRASZKA NA WOLONTARIUSZA

Przyjechalimy na wolontariat

By pomagać jak ten wariat

Zmywać, sprzątać i gotować

Czasem kibel wyszorować.

Pracowalibymy sprawniej

Tylko pytam się: „dlaczego

Przeszkadzacie nam kolego”?

Te swawolne wygibasy

Tańce, śpiewy i hałasy

Odciągają nas od pracy.

**Z zespołem z Domu Poprawczego w Falenicy podczas wieczornego spotkania pospektaklowego -
rozmawiają Magda Cierniaszek i Magda Jasińska**

Magdy: *W zeszłym roku zapowiadałyście, że nadszedł czas, by dziewczyny same zaczęły pisać piosenki, które wejdą w skład ich repertuaru i staną się podstawowym materiałem kolejnego koncertu. Czy zmieniła się forma Waszej współpracy?*

Lena: Rzeczywiście, udało nam się kontynuacja projektu. Nasza współpraca zaczęła się 3 lata temu i wciąż ewoluje. Zaczęliśmy od pieśni tradycyjnych, następnie pracowaliśmy z tekstami piosenek Hanki Ordonówny, a teraz został tylko (i aż) hip-hop. Mam wrażenie, że zaczęliśmy od czegoś, co jest bardzo dalekie dziewczynom, a doszliśmy do czegoś bardzo im bliskiego. Dzisiejsza praca nie byłaby możliwa bez przejścia tego procesu. Dziewczyny zaczęły dawać bardzo dużo z siebie. Nasza praca opiera się na tekstach, a teksty są autorstwa dziewczyn.

Magdy: *Jak powstawały te teksty? Czy już w zeszłym roku, gdy występowałyście na festiwalu w Węgajtach z piosenkami Ordonówny, miałyście pomysły na nowy repertuar?*

Ela i Ewa: Lena wymyśliła, że ciekawiej będzie, jeśli będziemy śpiewać własne teksty, mówiące o tym, co czujemy. Ja mój tekst pisałam 3 dni - na lekcjach, bo mi się nudziło...

Magdy: *Współpracował z Wami francuski raper, Khondor.*

Ela i Ewa: Khondor prowadził z nami warsztaty. Było bardzo fajnie. Jest kochany. Nie rozumieliśmy się, ponieważ mówił po francusku. Tłumaczyła Kasia [Regulska]. Gdy jej z nami nie było porozumiewaliśmy się poprzez muzykę. Khondor pomagał nam szybciej wchodzić w bit.

Magdy: *Jak powstawała muzyka i teksty?*

Lena: Za każdym razem jest inaczej. Nie mamy jednego systemu-najpierw tekst, potem bit. Nad pierwszą piosenką pt. „Deszcz” pracowaliśmy najdłużej, bo około 1,5 miesiąca. Słuchałyśmy też piosenek Khondora po francusku; dziewczyny pisały wtedy to, co czują i o czym ich zdaniem mówią rapowane przez niego kawałki. Później dziewczyny przynosiły gotowe teksty, także bajki. Słuchałyśmy bitów i zastanawialiśmy się co do czego pasuje.

Magdy: *Szczególnie poruszające były piosenki o mamie. Czy osoby o których piszecie, niekoniecznie mamy, przychodzą na wasze koncerty, mają okazję usłyszeć, co macie im do powiedzenia?*

Ewa i Ela: Raczej nie. Nie przychodzą, bo piją.

Magdy: *Co daje wam śpiewanie na koncertach? Jak odbieracie przyjazd do Węgajt?*

Ela i Ewa: Taki występ daje nam satysfakcję. Czujemy, że ludziom podoba się to, co robimy. Jest dla nas bardzo ważne, że przyszliście tu i nas wysłuchaliście.

Magdy: *Planujecie nagranie płyty? Od zeszłego roku można usłyszeć o was i waszych występach również w radiu. Łamiecie stereotyp osoby z zakładu poprawczego...*

Ela i Ewa: Płyta jest już prawie gotowa, a my jesteśmy normalne, często tylko raz nam odbiło i dlatego jesteśmy w zakładzie.

Joanna Wichowska: *Macie babski zespół. Jak wam się pracuje z samymi kobietami. Czy na spotkaniach rozmawiacie o facetach?*

Lena: Moje pobudki do pracy z dziewczynami były czysto feministyczne. Chciałam z nimi współpracować, bo zależy mi na dziewczynach. A temat facetów, oczywiście, pojawia się, ale nie są to łatwe tematy do rozmowy.

WYWIAD Z JOANNĄ WICHOWSKĄ

Poproszona o refleksje na temat spektaklu „Iwona poślubiona”, zrealizowanego przez Teatr Węgajty i aktorów-mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Jonkowie, Joanna Wichowska powiedziała:

To jest spektakl, który wydaje się być tak bardzo gombrowiczowski, że wszystkie inne na wielkich ważnych scenach wydają się mniej ważne. I nie chodzi tu o to, że to co repertuarowy teatr robi z Gombrowiczem jest złe, ale tutaj, ten rodzaj poetyki absurdu okazał się absolutnie poruszający, wzruszający i był jakimś objawieniem intelektualnym.

Działa również kontekst, to, że aktorzy pracują z ludźmi z Domu Pomocy Społecznej. I to jest trafienie w dziesiątkę z tym co Gombrowicz ma do powiedzenia w dzisiejszym świecie.

Zapytana o tegoroczny festiwal powiedziała, że:

Węgajty potrafią stawać w centrum aktualnych przemian społecznych, będąc tak naprawdę na uboczu, fizycznie i geograficznie. Mentalnie i intelektualnie są w centrum. To się potwierdza z każdym festiwalem coraz bardziej.

Zapytana o projekt Mute Sobaszek i Zofii Bartoszewicz powiedziała:

Ten spektakl traktuję bardzo osobiście, bardzo mocno kocham i Mutkę i Zosię i Panią Andzię. Nie ma we mnie takiego rodzaju miłości do Szymborskiej. Panią Andzię znam od dawna i zawsze wydawała się być bardzo bliska, temu co się dzieje w Węgajtach, jako człowiek i jako artystka. Dramaturgicznie jest to niezwykle, że poezja Szymborskiej i Pani Andzi doskonale ze sobą współbrzmia.

WEI-YUN LIN-GÓRECKA

Współtwórczość

Co rano

dzień przechodzi,

maluje na meblach i ścianach.

Później

noc się budzi, schodzi z góry,

zbiera i chowa obrazy.

Ze Stamatisem Efstathiou, autorem warsztatu pt. „Statek blaznów”, rozmawia Kamila Paprocka

Czy masz w Grecji swój teatr?

S.E.: Tak, to Ośrodek Teatralny „Atropos”. W październiku zeszłego roku przeprowadziliśmy się na wyspę Lesbos.

Jaki rodzaj teatru uprawiacie?

S.E.: Działamy w polu tzw. *physical theatre*. Tworzymy miks konwencjonalnego, klasycznego teatru, teatru tańca - zwłaszcza butoh oraz sztuki mimu. Silnie inspirujemy się dźwiękiem. Niewiele z naszych prac opiera się na tekście pisanym.

Co jest punktem wyjścia Waszej pracy? Improwizacja?

S.E.: Zaczynamy od jakiegoś głównego tematu, wokół którego później improwizujemy. Chodzi o to, żeby znaleźć punkt wspólny między energią, organicznym dźwiękiem, ciałem i tekstem. Ta metoda polega na pracy z kilkoma elementami. Nazywamy ją „Theatre of Connections”.

Czy dialogi, które słyszeliśmy podczas pokazu, były pomysłem uczestników warsztatu?

S.E.: Inspiracją był obraz Hieronima Boscha pt. „Statek głupców”. Postawiłem uczestnikom warsztatu kilka pytań związanych z tym obrazem, a oni udzielali na nie odpowiedzi: w formie działań fizycznych, pieśni lub tekstu.

Jakie to były pytania?

S.E.: Głównie pytaliśmy o to, jak znieść podróż na statku i jak poradzić sobie z szaleństwem. Jakie słowne frazy, motywy mogą być powtarzane w tym stanie? Te zdania mogą mieć przecież logiczny sens. Interesowały nas również ludzkie zachowania rodzące się wobec przeszkód, jakie stawia podróż. Na przykład - co zrobić lub powiedzieć, gdy łódź się zepsuje? Jak mogłoby być ostatnie zdanie wypowiedziane przed zatonięciem łodzi? Jak wygląda miejsce, do którego płynie łódź? I jakie są alternatywy dla ich życia po skończonej podróży...? Tutaj nie chodziło o psychiatryczną analizę stanu szaleństwa, ale o pokazanie, jak pojedynczy człowiek radzi sobie z obłędem. Staraliśmy się również odkryć granice między rozumem a szaleństwem. Okazuje się, że te granice są bardzo płynne.

Pojawił się obraz jakiejś społeczności, wspólnoty...

S.E.: To opowieść o grupie ludzi wykluczonej ze społeczeństwa i wysłanej gdzieś w podróż statkiem. Statek głupców wiezie ludzi, których zachowania nie przystają do norm społecznych. Tę wspólnotę stworzył temat, wokół którego pracowaliśmy. Interesujące są międzyludzkie relacje, jakie wytworzyły się podczas pracy.

Czy podobne tematy obecne są w innych pracach Twojego ośrodka?

S.E.: Dotychczas zrobiliśmy jedno przedstawienie dotyczące tej tematyki, które po angielsku można przetłumaczyć jako „Come”. Pojawił się w nim obraz społeczeństwa, w którym tkwią tendencje do marginalizacji zachowań niezgodnych z normą. Chciałbym kontynuować tę pracę.